

Media społecznościowe cenzorem XXI wieku

13 stycznia 2021

Głównym zagrożeniem dla wolności słowa w krajach demokratycznych nie są dziś bezsilne rządy, tylko potęga social mediów i firm technologicznych – pięciu firm, które decydują o tym, kto i o czym może z innymi rozmawiać.

Po ataku tłumu na amerykański Kongres, kiedy zginęło pięć osób w tym policjant, Twitter i Facebook ogłosiły zawieszenie kont prezydenta Trumpa, którego uznano za sprawcę ataku. To, w jakim stopniu Trump jest odpowiedzialny za działania wściekłego tłumu, który chciał uniemożliwić uchwalenie przez Kongres, że wybory są prawidłowe, jest rzeczą dyskusyjną – na pewno wielokrotnie zachęcał do przeciwstawiania się rezultatowi przegranych przez niego wyborów.

Niezależnie od tego zakaz komunikowania się przez niego z obywatelami USA, wprowadzony przez dwa główne media społecznościowe, uważam za potencjalnie znacznie groźniejszy dla przyszłości wolności słowa – a zatem i dla przyszłości demokracji – niż cokolwiek, co zrobił Trump.

Decyzje Facebooka i Twittera spotkały się z powszechną aprobatą wśród przeciwników Trumpa, „prawodawców, specjalistów od mediów cyfrowych i grup zajmujących się prawami człowieka, którzy poparli decyzję, chociaż uznali, że nastąpiła zbyt późno, bo pod samo koniec kadencji Trumpa” pisał „Washington Post” (należący do Jeffa Bezosa, o którym będzie jeszcze mowa). To, że grupy zajmujące się prawami człowieka popierają odebranie możliwości korzystania z prawa do wolności słowa wydaje mi się najlepszym dowodem tego, że jesteśmy w bezprecedensowej, dziwnej i niebezpiecznej sytuacji.

Nie dyskutujemy tutaj o tym, czy media społecznościowe zbanowały Trumpa słusznie czy niesłusznie. Dyskutujemy o tym,

czy powinni mieć pełną swobodę decydowania o tym, kto i o czym może z innymi użytkownikami publicznie rozmawiać. Innymi słowy: czy pozwalamy na to, żeby dyskusje publiczne w demokracjach zależały od widzimisię kilku facetów, nie ponoszących żadnej odpowiedzialności za swoje decyzje.

Pięciu Cenzorów

Działanie Facebooka i Twittera pokazały bowiem, że media społecznościowe stały się potęgami, która nikogo nie muszą się obawiać, ani prezydenta Stanów Zjednoczonych ani amerykańskich czy europejskich sądów. Potęgami, które decydują o tym, kto i co w społeczeństwach demokratycznych może mówić. Co gorsza, od ich arbitralnych decyzji nie ma odwołania.

Mark Zuckerberg z Facebooka i Instagrama, Jack Dorsey z Twittera, Jeff Bezos z Amazona, Sundar Pichai z Google (właściciela YouTube i sklepu z aplikacjami Androida), Tim Cook z Apple. Wielka piątka – a może siódemka, jak doliczyć właścicieli Google, Larry'ego Page'a i Sergieja Brina – to dzisiaj Cenzorzy naszego świata. A ich firmy to Wielcy Cenzorzy XXI wieku.

To prawda, że Trump korzystał z mediów społecznościowych żeby komunikować rozmaite rzeczy głupie i dla demokracji szkodliwe, szczególnie w ostatnim okresie, kiedy podważał uczciwość wyborów prezydenckich. Żadna z jego wypowiedzi nie znajdowała się jednak poza szerokimi granicami wolności słowa obowiązującymi w USA, gdzie nie istnieją europejskie ograniczenia „mowy nienawiści” i pochwalanie przemocy jest dopuszczalne, jeśli nie prowadzi do wywołania przemocy natychmiastowej.

Zablokowanie Trumpa nie było oczywiście pierwszym i jedynym zablokowaniem użytkownika przez te sieci. Czasowego albo stałego zablokowania doświadczyły pewnie miliony użytkowników, powodem jest zawsze „nieprzestrzeganie regulaminu” – a z zablokowania Facebook czy Twitter nie musi się nikomu

tłumaczyć. Powodem bana nie musi być wzywanie do zamieszek, może być opublikowanie nagiego zdjęcia (nawet znanego a nawet reprodukcji obrazu) czy zamieszczenie memu z Hitlerem.

Zagrożone zakazem bywają żarty, satyra a nawet polemiki prowadzone „w słusznej sprawie” – polski pisarz i scenarzysta Andrzej Saramonowicz został kilkakrotnie zawieszony, nie za podżeganie do krwawej rozprawy z przeciwnikami politycznymi, ale m.in. za użycie słowa „pedał” w poście piętnującym używanie słowa „pedał”

Banują anonimowi pracownicy tych mediów, nie żadne algorytmy, na podstawie donosów użytkowników.

Należy skończyć z pełną swobodą decydowania przez media społecznościowe o tym, jak ograniczać wolność wypowiedzi większości obywateli krajów demokratycznych.

Facebook, Twitter, YouTube, znacznie bardziej są uwrażliwione na treści i użytkowników niepoprawnych politycznie niż poprawnych. Strony skrajnych organizacji prawicowych i prawicowych postaci są likwidowane znacznie częściej i szybciej niż strony ekstremistycznych organizacji lewicowych czy islamistycznych. Dla osób, które w to wątpią, mam na końcu tekstu konkretną propozycję przetestowania ich ulubionego medium społecznościowego.

Kto i kiedy może regulować debatę publiczną?

Wolność słowa jest podstawową wartością demokracji i jej ograniczanie powinno być jak najmniejsze i jak najrzadsze, a każdy rodzaj ograniczeń bardzo dobrze uzasadniony. Jest wartością podstawową, bo bez wolności słowa nie ma demokracji, bo bez debaty publicznej nie ma możliwości dowiedzenia się, co się dzieje w kraju i zdecydowania, kogo się chce wybrać, żeby krajem kierował.

Dlatego należy skończyć z pełną swobodą decydowania przez media społecznościowe o tym, jak ograniczać wolność wypowiedzi większości obywateli krajów demokratycznych.

Oczywiście, wszędzie istnieją jakieś ograniczenia wolności słowa, nawet w USA ochroną konstytucyjną nie jest objęta pornografia dziecięca, publikowanie planów budowy broni atomowej, publiczne obrażanie ludzi i publikowanie cudzych powieści jako własnych. Ograniczanie wolności słowa wymaga w USA wyroku Sądu Najwyższego, a w Europie ustaw uchwalanych przez parlamenty. Historycznie to władze państwowe ograniczały wolność słowa, stąd pierwsza poprawka do konstytucji USA zabrania Kongresowi tworzenia takich przepisów.

Problem polega na tym, że dzisiaj wolność wypowiedzi publicznych ograniczają media społecznościowe, o których prawodawcy – w USA dwieście lat temu a dwadzieścia parę lat temu w Polsce, gdy uchwalano Konstytucję – nie mieli najskromniejszego wyobrażenia.

Potęga społeczności

Ich rolę i potęgę trudno dostrzec nawet specjalistom od mediów, dziennikarzom i politykom, ponieważ media społecznościowe i firmy technologiczne wyrosły w ostatnich kilkunastu latach, podczas gdy media tradycyjne mają za sobą ponad 200 lat historii. Jednak w tym krótkim czasie social media całkowicie przekształciły debatę publiczną i z mediami tradycyjnymi mają tyle wspólnego, co w dziedzinie transportu jumbo jet z furmanką.

Media społecznościowe różnią się od mediów tradycyjnych czterema istotnymi rzeczami:

- rodzajem komunikowania się (są demokratyczne, dając każdemu szansę na dotarcie do milionów innych użytkowników);
- wywołują silny związek emocjonalny dzięki nieustannie

odnawianej więzi z innymi użytkownikami, oceniającymi wzajemnie swoje zachowania (posty);

- mają gigantyczny zasięg, większy niż jakichkolwiek media tradycyjne, co się użytkownikom bardzo podoba;

- są faktycznymi monopolami w swoich sferach działania (Instagram – zdjęcia użytkowników, YouTube- filmy, Twitter – krótkie przekazy, Facebook – uniwersalne) .

I z tych czterech kwestii razem wziętych bierze się ich potęga.

Dziś debata publiczna w demokracjach toczy się przede wszystkim w mediach społecznościowych. Oczywiście, ciągle liczy się też, co piszą gazety i portale czy o czym mówią w telewizyjnych wiadomościach, ale te media traktowane są przede wszystkim jako źródło informacji o bieżących wydarzeniach, a znacznie rzadziej są narzędziami kształtującymi opinie.

Media społecznościowe są dla użytkowników znacznie ważniejsze niż tradycyjne – nie znam żadnych badań na ten temat, ale można sobie łatwo wyobrazić, jakie byłyby rezultaty sondażu: „Gdybyś musiał wybierać, z czego byś zrezygnował, z mediów społecznościowych czy tradycyjnych?”. Zresztą media tradycyjne nagminnie już jako źródła podają opinie i wypowiedzi zamieszczane przez użytkowników w społecznościowych.

Czy istnieje alternatywa?

Dlatego wykluczenie kogoś z mediów społecznościowych, z ich ogromnymi zasięgami, jest niemal wykluczeniem z debaty publicznej. Niemal, bo powstają rozmaite media społecznościowe dla wykluczonych albo dla publikowania treści, które są przez administratorów usuwane.

Przykładem jest Parler, gdzie gromadzili się rozmaici ekstremiści i prawicowcy, dla których nie było miejsca na Facebooku i Twitterze. Czas przeszły jest uzasadniony: w

chwili pisania tego tekstu w poniedziałek wieczorem, sieć Parler przestała działać, ponieważ Amazon, na którego serwerach Parler działał, przestał ich obsługiwać. A wcześniej Apple i Google zapowiedziały, że w ich sklepach z aplikacjami Parler nie będzie już dostępny.

Dlatego Amazon, Apple i Google włączam do systemu Cenzury XXI wieku. Google zresztą kontroluje YouTube, który ma własny, równie nieprzejrzysty i arbitralny jak Facebook system cenzurowania zawartości.

W dyskusjach o zbanowaniu Trumpa osoby popierające zakaz nie widzą tego zakazu jako ograniczenia wolności słowa, bo nie jest to ograniczenie nakładane przez rząd, tylko przez prywatną firmę – a prywatne firmy mogą robić co chcą. To jednak nie jest prawda, że prywatne firmy mogą robić co chcą – tysiące przepisów dotyczących produkcji leków, żywności, transportu, utylizacji odpadów i właściwie wszystkiego innego pokazują, że w każdej niemal dziedzinie gospodarki istnieją regulacje, które mają zapewnić określone, pożądane przez prawodawców działanie prywatnych firm zajmujących się określonymi aspektami. Takie działanie, które ma ograniczać potencjalne szkody a maksymalizować dobro publiczne.

Nawet firmy medialne są objęte różnego rodzaju przepisami, dotyczącymi na przykład koniecznej proporcji programów dla dzieci czy twórczości krajowej albo konieczności wyraźnego oddzielania treści redakcyjnych od reklamowych. Dla mediów społecznościowych praktycznie takich przepisów nie ma.

Zwolennicy pozostawienia mediów społecznościowych poza kontrolą, oprócz argumentu „to firma prywatna, może u siebie decydować, kogo z czym dopuszcza na stronę” używają jeszcze drugiego, aby uzasadnić czemu te media mają pozostać nieregulowane. Argument ten stwierdza, że arbitralne usuwanie postów czy banowanie użytkowników nie jest ograniczeniem wolności słowa, bo przecież niezadowoleni użytkownicy mogą pójść do innego medium albo je założyć.

Z tym pójściem, jak wskazuje przykład Parlera, bywa różnie, a założenie, które mogłoby konkurować z monopolistą, jest praktycznie niemożliwe. Dowodzi tego przykład projektu, wspieranego przez firmę, która ma nieograniczone zasoby finansowe i zatrudnia tysiące najbystrzejszych ludzi na świecie – projekt nazywał się Google+, powstał w 2011 roku i praktycznie przestał istnieć. Skoro Google nie był w stanie stworzyć konkurencji do Facebooka, to kto może tego dokonać?

Od mowy nienawiści do „szkodliwej obojętności”

Cenzura, wprowadzana przez media społecznościowe, w tej chwili nie wydaje się większości użytkowników groźna, bo dotyczy nielicznych osób – głównie z prawej strony sceny politycznej – lub dotyczy kwestii, które w codziennych dyskusjach nie są najważniejsze.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że ponieważ nie ma żadnych reguł, media te mają całkowitą swobodę ustalania, o czym i jak wolno mówić. Mogą zmieniać swoje regulaminy nawet codziennie i nikt nie może im nic zrobić. Mogą zdecydować, że używanie słowa „naród” albo „kobieta” albo „terroryzm islamski” jest zakazane, albo że zakazane jest dyskutowanie na określone tematy. Mogą zbanować połowę republikańskich senatorów i kongresmanów i wszystkich posłów konserwatywnych w Wielkiej Brytanii – i nikt im nic nie będzie mógł zrobić.

Jednak jestem przekonany, że zakres tego, o czym nie wolno pisać w mediach społecznościowych będzie się poszerzał, ponieważ zakazy są wprowadzane pod naciskiem poprawnych politycznie „wojowników klawiatury”, zasypujących Twittera i Facebooka donosami o nieprawomyślnych postach i domagających się banowania osób, które piszą nie to co trzeba.

Dzisiaj nie wolno na Facebooku publikować niczego, co jest „mową nienawiści”, jutro będzie to zakaz „mowy niechęci” a

potem „szkodliwej obojętności” – pójdą śladem tego, co się dzieje na amerykańskich kampusach. W dzisiejszej kulturze amerykańskich college’ów wypowiedanie opinii, z którymi studenci się nie zgadzają (nawet przez profesorów), uznawane jest za zagrożenie dla nich, czyli za czyn agresywny i szkodliwy.

Okazuje się, że szkodliwe i wrogie są również „mikroagresje”, a mikroagresją jest na przykład powiedzenie „USA są krajem możliwości” (bo to atak na osoby, którym się źle w życiu powodzi). To zjawisko opisuje znakomita książka „The Coddling of the American Mind” – a zwyczaje takie dotarły już do Europy w postaci „cancel culture”.

Czy daleko jesteśmy od sytuacji, w której media społecznościowe będą zabraniać dyskusowania o powodach alkoholizmu, o kiepskich wynikach uczniów w krajach muzułmańskich albo o sensowności urlopów tacierzyńskich – bo tematy te będą dla niektórych użytkowników nieprzyjemne, czemu dadzą wyraz w publicznych i mailowych żądaniach zbanowania dyskutantów?

Uregulować monopolistów

Media społecznościowe to firmy prywatne, ale firmy monopolistyczne. A z monopolami prawo amerykańskie i europejskie walczy – skutecznie – od ponad 100 lat. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby uchwalić odpowiednie przepisy, które uniemożliwią monopolistom społecznościowym dowolne ograniczanie wolności słowa. Powinny je obowiązywać cztery proste zasady.

Po pierwsze, media takie nie powinny ograniczać swobody wypowiedzi w większym stopniu, niż przewidują to przepisy danego kraju.

Po drugie, decyzje o ograniczeniu możliwości wypowiedzi powinny być uzasadnione merytorycznie, a nie „naruszeniem

regulaminu”, a także podpisane przez konkretną osobę.

Po trzecie, decyzje o zawieszeniu czy zamknięciu konta użytkownika powinny być możliwe do zaskarżenia w specjalnym sądzie, wydającym wyroki błyskawicznie, tak jak wydawane są wyroki w trybie wyborczym.

Po czwarte, za decyzje uznane przez sąd za niesłuszne użytkownicy mogliby domagać się odszkodowania, tak jak można domagać się odszkodowania za wadliwe lekarstwo, produkt żywnościowy czy samochód.

W Stanach Zjednoczonych wprowadzenie takich zasad może być trudne, bo mogą zostać uznane za naruszenie pierwszej poprawki. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby rozwiązanie takie zostało solidarnie wprowadzone w krajach Unii Europejskiej. Solidarnie, bo jeśli wprowadzić je będą chciały tylko pojedyncze kraje, to media społecznościowe mogą zagrozić wycofanie się z danego kraju. Z całej Unii się nie wycofają.

Że to trudne? Owszem, ale alternatywą jest pozostawienie paru osobom prawa do decydowania, o czym mogą dyskutować setki milionów obywateli demokratycznej Europy. Gdyby decyzje takie podejmowało kilku polityków, na ulice wyszłyby masowe manifestacje.

Więc może czas uświadomić sobie, że tych paru amerykańskich facetów ma moc, jakiej nigdy nie dalibyśmy politykom – moc odbierania nam prawa do mówienia tego, co chcemy.

Dodatek praktyczny

Dla osób, które samodzielnie chciałyby sprawdzić, czy usuwanie postów i banowanie w mediach społecznościowych jest neutralne światopoglądowo i ideologicznie, proponuję wykonanie następującego testu.

Należy w dowolnej kolejności zamieścić dwa poniższe prowokacyjne posty i zobaczyć, po którym z nich „Facebook”

bądź „Twitter” użytkownika zbanuje.

1. Katolicyzm to chyba najgorsza i najgłupsza religia świata. Wymaga od wyznawców wiary w nieprawdopodobne rzeczy sprzeczne z wiedzą naukową. A przez setki lat swojej historii wyznawcy katolicyzmu zamordowali miliony heretyków, ludzi innych wyznań i tak zwanych niewiernych.

2. Islam to chyba najgorsza i najgłupsza religia świata. Wymaga od wyznawców wiary w nieprawdopodobne rzeczy sprzeczne z wiedzą naukową. A przez setki lat swojej historii wyznawcy islamu zamordowali miliony heretyków, ludzi innych wyznań i tak zwanych niewiernych.

Gdyby ktoś z powodów religijnych nie chciałby zamieszczać na swojej stronie takich stwierdzeń, to proponuję dwa prowokacyjne stwierdzenia z innej dziedziny.

1. Oczywiście, że rasy ludzkie istnieją. W dodatku z badań inteligencji wynika, że jeśli porównujemy czarnych i białych z identycznych grup wykształcenia i dochodów, to czarni są inteligentniejsi niż biali.

2. Oczywiście, że rasy ludzkie istnieją. W dodatku z badań inteligencji wynika, że jeśli porównujemy czarnych i białych z identycznych grup wykształcenia i dochodów, to biali są inteligentniejsi niż czarni.

Autorstwo: Grzegorz Lindenberg

Źródło: Euroislam.pl